

Demokracja, najbardziej niebezpieczna religia – 7

8 lipca 2023

Teologia wyborów

W swojej najprostszej formie demokracja polega na tym, że członkowie grupy wykorzystują pewien proces decyzyjny, aby zademonstrować swoje preferencje dotyczące sposobu działania, w przeciwieństwie do lidera decydującego za grupę. Na Zachodzie proces głosowania jest preferowaną metodą grupowego podejmowania decyzji. Nie ma uzasadnienia dla tej preferencji, ale zwolennicy prawdopodobnie twierdzą, że jest to w jakiś sposób sprawiedliwe, uzasadnione i jest to oczywiście uniwersalna wartość i wola Boga. Głosowanie jest czasami używane jako ratyfikacja uzgodnionej decyzji, ale najczęściej jest to po prostu metoda zakończenia nierozstrzygniętego sporu na korzyść silniejszej większości.

Ale dlaczego w ogóle mielibyśmy głosować? Po co uciekać się do tej metody podejmowania decyzji? W małych grupach jest to bezcelowe, a w dużych grupach jest nie tylko poważnie wadliwe, ale obdarzone iluzoryczną legitymizacją i jest niczym innym, jak jawną niesprawiedliwością. Jeśli tylko kilku z nas dyskutuje o tym, czy wyjść na piwo, czy zagrać w snookera, nie poddawalibyśmy tego pod głosowanie. Dyskutowalibyśmy o różnych opcjach, dopóki nie osiągnęlibyśmy porozumienia. Ta zgoda nie musi oznaczać, że wszystkie osoby są w 100% za, ale żadna osoba nie jest w 100% przeciw – co oznacza, że wszyscy będą mniej lub bardziej zadowoleni z wyniku.

Jeśli 100 osób w naszej firmie chce wybrać miejsce na konferencję sprzedażową, w jakich okolicznościach poddalibyśmy tę decyzję pod ostateczne głosowanie? Zwykle podnosimy i omawiamy opcje, odrzucamy te nieodpowiednie i rozważamy kilka

pozostałych. Oczekujemy, że nasza debata zaowocuje alternatywą akceptowalną dla wszystkich – być może dla niektórych bardziej niż dla innych, ale nadal akceptowalną. Bez silnej niezgody. Jeśli na koniec zdecydujemy się głosować w tej sprawie, to tylko dlatego, że dwa segmenty naszej grupy uparcie sprzeciwiają się dalszym negocjacjom i odmawiają rozważenia nowych alternatyw. Obydwie po prostu okopały się na swoich pozycjach.

Proponowana metoda rozwiązania impasu, głosowanie, jest po prostu przyznaniem się do naszej porażki w negocjacjach i odmowy wzięcia pod uwagę dobra wszystkich członków grupy. Co więcej, prośba o głosowanie zawsze będzie pochodzić od grupy większościowej, która chce zakończyć dyskusję na swoją korzyść. Chcemy mieć swój własny sposób; nic więcej. Z drugiej strony, jeśli mamy skuteczny proces dyskusji i negocjacji, wyłoni się ogólna wola grupy. Możemy zapytać, czy wszyscy są wystarczająco zadowoleni z naszego rozwiązania, czy są jakieś silne głosy sprzeciwu. Tak długo, jak rzeczywiście bierzemy pod uwagę życzenia wszystkich, głosowanie byłoby niepotrzebne i bezcelowe.

W przypadku głosowań rządowych w zachodnich demokracjach mamy dwie partie, które okopały się na długo przed rozpoczęciem dyskusji, wyłącznie na podstawie ideologii partyjnej, co oznacza, że: odrzucam każdą sugestię, nawet jeśli jest dobra. W debatach rządowych i dyskusjach politycznych jest przesądzone, że nie będzie negocjacji, w dobrej wierze lub w inny sposób, że rzadko jest nadzieja na znalezienie rozwiązania akceptowalnego dla wszystkich. Poddajemy więc sprawę pod głosowanie. Na Zachodzie, z jego czarno-białą kulturą, preferowaną opcją rozwiązywania różnic zdań jest wymuszenie zakończenia dyskusji. Na Wschodzie, w tym w Chinach, kultura odcieni szarości będzie opóźniać, ponownie zbierać się i ponownie dyskutować, aż pojawi się konsensus, z którym wszyscy mogą żyć.

Tyrania większości

Ci, którzy założyli republikę amerykańską, wyraźnie rozumieli niebezpieczeństwa związane z demokracją. Edmund Randolph z Wirginii opisał wysiłki zmierzające do rozwiązania tej kwestii podczas Konwencji Konstytucyjnej: „Ogólnym celem było znalezienie lekarstwa na zło, w obliczu którego pracowały Stany Zjednoczone; że śledząc te zło do ich źródeł, każdy człowiek znalazł je w zawirowaniach i szaleństwach demokracji. Te silne poglądy dotyczące zła demokracji i korzyści płynących z Republiki Konstytucyjnej były podzielane przez wszystkich Założycieli. Dla nich demokracja oznaczała scentralizowaną władzę, kontrolowaną przez opinię większości, która była do wzięcia, a zatem całkowicie arbitralna. Są to podstawowe pojęcia tyranii większości”.

Jednym z najtrwalszych i najgłupszych mitów rozpowszechnianych w celu stworzenia iluzji świętości demokracji i legitymizacji powstałego w jej wyniku ciała politycznego jest to, że głosowanie jest „sprawiedliwe”. Do diabła z tym. Głosowanie to nic innego jak zastraszanie przez większość. Nie ma systemu podejmowania decyzji, który byłby mniej sprawiedliwy niż poddanie czegoś pod głosowanie. Jest to arogancki proces decyzyjny, celowo zaprojektowany tak, aby lekceważyć życzenia i najlepsze interesy, aby pozbawić praw połowę populacji, której dobro jest zagrożone. Niezależnie od tego, która strona uzyska mniej niż większość, jest całkowicie odsunięta na bok, a jej życzenia i dobro są ignorowane, ponieważ są „przeigrani”. Według jakiego pokręconego standardu proces decyzyjny można uznać za sprawiedliwy lub zgodny z prawem, gdy – z założenia – ignoruje on wyraźne życzenia być może połowy populacji? Na jakiej podstawie możesz twierdzić, że twoja 51% większość uprawnia cię do 100% nagród, podczas gdy moja 49% mniejszość uprawnia mnie do zera? To po prostu indywidualistyczny, samolubny, zastraszający, zgodny z prawem dżungli darwinizm społeczny. W wielu tak zwanych demokratycznych wyborach moja „mniejszość” często stanowi znacznie więcej niż 50% populacji.

Ale ty „wygrywasz”, więc jest to „sprawiedliwe”. Gdzie jest sprawiedliwość i równość w takim systemie „wszystko albo nic”, który produkuje tylko zwycięzców i przegranych?

De Tocqueville pisał obszernie o tyranii większości w demokracji, która jego zdaniem wynikała z „absolutnej suwerenności”, która dawała rządzącym wiarę w ich wszechmoc, która dawała im „prawo do robienia wszystkiego” i, w ich poczuciu własnej słuszności, zapewniała, że mniejszości (co może oznaczać całą populację) zostały sprowadzone na piedestał i do opresyjnego i „wymuszonego konformizmu”. Trudno nie zgodzić się z tezą, że to właśnie w tym miejscu znajdują się dziś Stany Zjednoczone i wszystkie zachodnie demokracje, a „standardowa narracja” ma obecnie taką moc, że zaprzeczanie jej prowadzi nie tylko do przymusowej cenzury, ale także do wyroków więzienia. Stwierdził, że gdy „większość opinii publicznej” zostanie ustalona (przez kontrolerów Deep State), jest ona „nieodwołalnie ogłoszona i wszyscy milczą”, a wolnomyśliciele muszą zostać znormalizowani. My, ludzie w tych demokracjach, straciliśmy wolność zaprzeczania temu, w co każe się nam wierzyć. De Tocqueville twierdził, że niezgoda nieuchronnie doprowadziłaby do „biurokratycznego despotyzmu”, który byłby ostateczną szkodą dla demokracji, zauważając, że państwo demokratyczne ma „ogromną i opiekuńczą władzę”, która zniszczyłaby wszelką możliwość wspólnego działania ludności przeciwko dyktaturze oligarchii i tyranii, że ludzie straciliby możliwość korzystania ze swojej woli i umysłu i nie byłiby już w stanie oprzeć się tej tyranii. Istnieje również kwestia dewiantów z zagranicy, którzy pociągają za sznurki z ciemności za tronem.

Demokratyczna legitymizacja

Innym powszechnym mitem jest to, że głosowanie czyni decyzje legalnymi. Nie, nie czyni. Nie ma żadnego prawa, żadnej ewangelii, żadnej zasady filozoficznej, która dyktowałaby, że 51% większość ma „rację”, czyniąc tym samym jej decyzje

legalnymi, uzasadnionymi i uzasadnionymi, a zatem które powinny być narzucone mniejszości. Legitymizacja ta jest iluzją wymyśloną przez tych, którzy wierzą, że „siła czyni słusznym” i propagowaną jako cnota teologiczna, aby uciszyć zastraszaną mniejszość do uległości. Jest to odrażająca filozofia wspierana przez szeroko zakrojoną propagandę i pranie mózgu, aby mniejszość nie zdawała sobie sprawy z tego, co się z nią dzieje. A to, co się stało, to fakt, że mniejszość została oszukana, by uczestniczyć w systemie, który ignoruje ich życzenia, pozbawia ich praw i korzyści, a zamiast tego daje wszystko większości. I to jest uważane za sprawiedliwe i uzasadnione w zachodniej demokracji.

Ale to wszystko jest okrutnym oszustwem. „Ludzie” są wabieni do wyboru stron, angażowania się w bitwę, a następnie zmuszani do ewidentnie niesprawiedliwego rozwiązania poprzez głosowanie. Przegrani są bici, zastraszani, propagowani i oszukiwani, aby uwierzyli i zaakceptowali, że ponieważ są przegranymi, ich życzenia, prawa i dobrobyt są teraz nieistotne i muszą milczeć. Zwycięzca otrzymuje łupy. Przegraliście wojnę; ja ustaliłem warunki.

Jest to kolejny hołd dla potęgi propagandy, że mniejszość, która może stanowić ponad 50% naszej próbki populacji, porzuci swój własny interes i podda swój los wrogiej większości w oparciu o jakąś wymyśloną moralną zasadę sprawiedliwości i legitymizacji. Propaganda jest tak skuteczna, że ani większości, ani mniejszości nie przychodzi do głowy, że system zaprojektowany w celu zlekceważenia połowy populacji nie jest ani moralny, ani sprawiedliwy, a legitymizacja jest nadawana jedynie przez wypaczoną teologię. Na jakiej planecie ja, z racji bycia częścią mniejszości, zrzekam się moich życzeń i moich najlepszych interesów i przekazuję kontrolę nad moim dobrobytem zasadniczo wrogiej grupie, która akurat stanowi przeciwną większość?

Zachodni system polityczny przejął ewidentnie niesprawiedliwy i socjopatyczny proces darwinizmu społecznego i przemianował

go na teologię. Zachodnie prawicowe indywidualistyczne narody, byli i obecni imperialiści, najeźdźcy i zdobywcy, podążający za prawem dżungli „zwycięzca bierze wszystko”, wymyślili ten system, ponieważ pasuje on do ich wojowniczej osobowości i chrześcijańskiej moralnej supremacji. Nie wybrali go dlatego, że był sprawiedliwy lub uzasadniony; wybrali go, ponieważ zastraszanie przychodzi naturalnie do ich darwinizmu społecznego. Jedynym sposobem twierdzenia, że taki proces jest legalny, jest uciszenie mniejszości poprzez zmuszenie ich do zaakceptowania teologicznego założenia, że mniejszości nie mają żadnych praw i nie zasługują na uwagę, ponieważ tak naprawdę są przegranymi. Ta filozoficzna zdrada jest zadaniem propagandy.

Propaganda ta jest niemal w całości napędzana przez wypaczoną amerykańską wersję religii. To tutaj, zakorzenieni w prymitywnym ewangelicznym chrześcijaństwie, wygrani, zwycięzcy demokratycznych wyborów, świętują nie tylko swoje zwycięstwo, ale także swoją domniemaną moralną wyższość nad przegranymi, którzy teraz przyzwalają na własną nędzę. Przegrani są odsuwani na bok, ponieważ zasługują na to; dzięki przegranej w wyborach ich moralna niższość jest teraz publicznie znana. I jest to „moralna niższość”; nie popełnij co do tego błędu. Podczas obchodów zwycięstwa po każdych zachodnich wyborach, zwycięskie partie i kandydaci świętują nie tylko wygraną swojej drużyny, jak w każdym sporcie, ale w rzeczywistości pielęgnują i wychwalają moralne znaczenie tego zwycięstwa, mając teologiczną pewność, że nie tylko ich ideologia polityczna, ale wszystkie przyszłe działania są teraz uzasadnione posiadaniem wyższych wartości moralnych niż ich przeciwnicy, czego przykładem jest ich „zwycięstwo”. I to właśnie to religijne przekonanie usprawiedliwia odsuwanie na bok pozostałych 50% populacji i celowe lekceważenie ich życzeń i dobrobytu. Przegrani dostają to, na co zasługują.

W każdym rozsądnym społeczeństwie lekkomyślne byłoby ignorowanie życzeń 49% populacji; to prawie pewna formuła

rewolucji. Ale w zachodnich demokracjach 49% mniejszości, której partia „przegrała” wybory, jest zmuszona uznać i zaakceptować teologiczną wyższość moralną zwycięzców i milczeć, podczas gdy życzenia i ideologia zwycięzców są im narzucane.

Powodem, dla którego społeczeństwa azjatyckie w naturalny sposób nie uciekają się do procesu głosowania w celu rozstrzygania sporów lub wyboru przywódców – i głównym powodem, dla którego zachodnia demokracja jest im tak obca – jest to, że (1) nie zostały one podzielone przez konfliktowe ideologie polityczne i (2) nie zostały zainfekowane prymitywnym zachodnim chrześcijaństwem lub judaizmem, a zatem nie postrzegają różnic zdań w kategoriach moralnych.

Nie można odsuwać na bok i ignorować 49% populacji na podstawie wyższości moralnej, jeśli społeczeństwo nie moralizuje, a społeczeństwa azjatyckie nie moralizują. Ponieważ nie zostały one zainfekowane religią, a zatem nie żyją w czarno-białym świecie typu wszystko albo nic, nie postrzegają rozwiązywania sporów jako procesu, w którym moralnie prawi zwycięzcy mają prawo do 100% łupów wojennych, podczas gdy moralnie upadli przegrani nie mają prawa do niczego.

Kongres Stanów Zjednoczonych wielokrotnie głosował za odrzuceniem przepisów dotyczących pracy dzieci. Głosował za rozpoczęciem całkowicie nieuzasadnionej wojny w Wietnamie, opartej w całości na kłamstwach. Głosował za utworzeniem prywatnego amerykańskiego FED, co było aktem jawnej zdrady, gwarantującym finansowe zniewolenie narodu przez niewielką garstkę żydowskich, europejskich bankierów. Kongres głosował za usunięciem wszystkich regulacji bankowych, aby umożliwić FED i bankierom rozpoczęcie wielkiej ofensywy na amerykańską klasę średnią przed 2008 rokiem, przenosząc połowę z nich do klasy niższej w ciągu zaledwie kilku lat. W jaki sposób te „demokratyczne” głosowania uczyniły te decyzje „prawomocnymi”? W jaki sposób te decyzje większości były „sprawiedliwe”, dobre

dla narodu lub moralnie prawe? W jaki sposób uzasadnione było to, że członkowie Kongresu głosowali za pozwoleniem sobie na bezkarne czerpanie zysków z handlu akcjami z wykorzystaniem informacji poufnych? Gdzie były psalmy na cześć „wartości demokratycznych”, gdy ci sami członkowie Kongresu widzieli, jak ich łączne aktywa wzrosły o ponad 25% w ciągu pierwszych dwóch lat załamania gospodarczego w 2008 roku, podczas gdy praktycznie cała populacja USA obserwowała, jak ich własne aktywa tracą na wartości o 50% lub więcej.

Głosowanie i wybory

Ludzie Zachodu generalnie postrzegają politykę jako sport zespołowy, w którym każdy powinien mieć możliwość uczestniczenia w wyborze najwyższych urzędników w kraju. Ale nawet dobrze wykształceni ludzie mają niewielką wiedzę na temat ekonomii lub polityki społecznej, spraw zagranicznych, kwestii dyplomatycznych, polityki pieniężnej lub handlu międzynarodowego. Niewiele osób w jakimkolwiek kraju ma wiedzę lub doświadczenie, aby ocenić lub oszacować referencje kadry kierowniczej wysokiego szczebla, nie rozumiejąc ani pracy, ani wymagań. Jest to jedna z tych niewygodnych prawd, że zdecydowana większość populacji po prostu nie jest kompetentna do inteligentnego kierowania decyzjami w którymkolwiek z tych obszarów. Jednak miłośnicy demokracji najwyraźniej nie widzą w tym nic odstrasżającego.

Spróbujmy wypłukać niektóre z bezmyślnych bzdur, które tak często papuguje się na temat uświęconego procesu demokratycznego. Zatrudnianie i selekcja ludzi, w tym proces, który nazywamy „wyborami”, obejmuje ocenę zdolności i kompetencji osób ubiegających się o pracę.

Jestem kompetentny, by zatrudnić sprzątaczkę do mojego domu. Mogę to zrobić, ponieważ rozumiem tę pracę. Sprzątałem własne kuchnie, prasowałem własne koszule, myłem własne podłogi i szorowałem własne toalety. Wiem, jak wykonać każdą część

każdej pracy i wiem, jak odróżnić dobrą pracę od złej. Jestem kompetentny, by zatrudnić sekretarkę lub osobistą asystentkę, na tych samych zasadach, co powyżej. Jestem kompetentny, by zatrudnić współpracownika w mojej firmie, w tym kogoś na moim poziomie, ponownie ze wszystkich powyższych powodów. Znam tę pracę od podszewki, wiem, co trzeba zrobić i potrafię odróżnić dobrą pracę od złej. Nikt nie jest w stanie mnie oszukać, przynajmniej nie na długo.

I na tym, czy mi się to podoba czy nie, sprawa się kończy. Jestem kompetentny, by oceniać i zatrudniać osoby na moim poziomie lub niższym. Jako wiceprezes korporacji nie jestem kompetentny, by zatrudnić nowego prezesa, z tych samych powodów, co powyżej, w odwrotnej sytuacji. Nie rozumiem wystarczająco dobrze tej pracy i dlatego nie mogę nawet określić, a tym bardziej ocenić, referencji. Nie mam umiejętności ani doświadczenia, by oceniać osoby, które są ode mnie starsze lub których pracy do końca nie rozumiem. Żadna sekretarka w dziale logistyki nie uwierzyłaby, że jest w stanie wybrać nowego dyrektora finansowego dla firmy. Żaden prezes firmy kurierskiej nie zakładałby, że jest w stanie zatrudnić wiceprezesa ds. marketingu w studiu filmowym. W takich przypadkach nie znamy branży ani wymagań związanych ze stanowiskiem, ani nie wiemy, jakie referencje byłyby najbardziej wartościowe i beznadziejnie brakuje nam zarówno doświadczenia, jak i umiejętności.

W swojej karierze pełniłem funkcję starszego dyrektora regionalnego w dużej międzynarodowej firmie konsultingowej, budowałem i posiadałem międzynarodowe firmy handlowe, byłem dyrektorem finansowym firmy naftowej, odpowiadałem za duże projekty urbanistyczne i prowadziłem międzynarodowe doradztwo w różnych dziedzinach, od finansów, przez turystykę, po politykę zagraniczną. Prowadziłem zajęcia EMBA na temat spraw zagranicznych i geopolityki w wybitnej szkole biznesu. Powiedziałbym, że zgromadziłem przynajmniej niewielką część kompetencji.

Ale nie jestem kompetentny, by oceniać i wybierać ministra finansów do amerykańskiego gabinetu, ani gubernatora Arkansas, ani burmistrza Los Angeles, ani nawet kilkuset wyższych urzędników państwowych w mniejszych miastach. Nie dyskredytuję siebie ani moich umiejętności, ale nie mam doświadczenia w tych dziedzinach. Nigdy nie pracowałem na tych stanowiskach i chociaż mam ogólne pojęcie o obowiązkach i odpowiedzialności, nie mam odpowiedniego zrozumienia wymagań i wymagań związanych z tymi stanowiskami. Bez tego jestem niekompetentny, by oceniać i wybierać. Prawdę mówiąc, tylko niewielki ułamek 1% ludzi w każdym kraju ma kwalifikacje do dokonywania takich ocen.

Ale w „demokracji” najwyraźniej nie ma to znaczenia. Każdy ma prawo ubiegać się o stanowiska i każdy ma prawo wybierać spośród nich. Uderzająco oczywista rzeczywistość, że zdecydowana większość kandydatów politycznych nie ma kwalifikacji do kandydowania w wyborach i że zdecydowana większość wyborców nie ma kwalifikacji do ich oceny, najwyraźniej nie jest tak uderzająco oczywista.

Pewien Amerykanin, zamieszczając swoje komentarze do artykułu online, napisał, co następuje: „Myślę, że w przyszłości powinniśmy rozwinąć system weryfikacji naszych kandydatów na prezydenta pod względem doświadczenia i zdolności przywódczych. Bycie popularnym, używanie teleprompterów, posiadanie charyzmy i bycie popieranym przez gwiazdy filmowe i bohaterów sportowych nie powinno już mieć wpływu na naród amerykański”. Następnie zaproponował następującą listę pytań, które należy zadać przy ocenie kandydatów na urząd prezydenta USA:

- Ile stanowisk zajmowałeś w swoim życiu?
- Czy pracowałeś w koledżu, czy dostałeś darmowe studia?
- Kto płaci za twoją kampanię?
- Jaką gwarancję możesz dać narodowi amerykańskiemu, że

rzeczywiście zrealizujesz swoje obietnice z kampanii?

– Czy jesteś w stanie przezwyciężyć swoje osobiste uprzedzenia, które wnosisz do pracy jako prezydent i pracować dla wspólnego dobra?

– Jaka jest twoja przynależność religijna i w co wierzy twoja kongregacja?

– Jaki jest twój pogląd na świat i jaki jest twój pogląd na życie?

– Czy chcesz być sługą ludzi, czy sługą własnej żądzy władzy?

Szczerłość tego człowieka jest oczywista, podobnie jak jego ignorancja. Widzimy, że wie, że coś jest nie tak, a jego wstępne oświadczenie jest rozsądne, jednak brakuje mu wiedzy i doświadczenia, aby kontynuować. Jest beznadziejnie poza swoją głębią, aby przeprowadzić weryfikację, o której tylko mgliście rozumie, że jest potrzebna. Jak w świetle tego możemy ślepo udawać, że demokracja z powszechnymi wyborami jest najlepszym ze wszystkich systemów? Kiedy „ludzie” są tak żałośnie pozbawieni podstawowych kompetencji do oceny kandydatów znacznie starszych od siebie, na jakiej podstawie możemy bronić systemu, w którym wszyscy głosują?

Dlaczego ktokolwiek miałby celowo projektować system, w którym całkowicie niedoinformowani ludzie, ci z niewielkim wykształceniem i bez odpowiedniego doświadczenia, mogliby nie tylko mieć władzę wyboru wyższych urzędników państwowych, ale także stać się jednym z nich? To nie jest elitaryzm; to kwestia bardzo praktycznego podejścia. Co robimy w naszych korporacjach? Czy pozwalamy szeregowym pracownikom, młodym i niewykształconym na hali produkcyjnej, tym, którzy nie mają doświadczenia w zatrudnianiu nawet dozorczy, wybierać cały zarząd, kierowników i dyrektorów? Oczywiście, że nie. Korporacja to poważna sprawa, a takie wybory pozostawia się tym, którzy są najbardziej kompetentni do ich podejmowania.

Jak wybrać dyrektora generalnego firmy?

Aby wybrać dyrektorów zarządzających dla dużej korporacji, zwykle zatrudniamy firmę executive search w celu znalezienia najbardziej prawdopodobnych kandydatów z udokumentowaną historią sukcesów w zarządzaniu. Firma ta może stworzyć krótką listę trzech kandydatów, z których każdy może wykonywać tę pracę, ale mają różne profile do zaoferowania. W tym kontekście, kto z nas będzie twierdził, że jest kompetentny do przeprowadzenia rozmów z tymi osobami, zbadania ich referencji, oceny ich kompetencji i dokonania najlepszego wyboru? Czy mógłbyś to zrobić? Mało prawdopodobne. Niewielu z nas mogłoby tak twierdzić. Rzeczywiście, gdybyś miał za zadanie przesłuchać i ocenić kandydatów na dyrektora generalnego Boeinga, prawdopodobnie zmoczyłbyś spodnie. Ale jeśli prawie wszyscy obywatele są beznadziejnie niekompetentni (a są), by wybrać dyrektora generalnego dla dużej korporacji, to jak mogą twierdzić, że są doskonale kompetentni, by wybrać dyrektora generalnego dla swojego kraju? Musimy tylko pomyśleć. Dla korporacji byłaby to opcja „demokratyczna”.

Każdy, kto chce dostać tę posadę, referencje nie mają znaczenia, wystarczy, że ktoś cię nominuje i już możesz startować. Przekonaj wystarczającą liczbę pracowników, by na ciebie zagłosowali, a posada będzie twoja. Najprostszym sposobem jest obiecanie wyższych pensji, dłuższych wakacji i darmowego piwa. Nie ma znaczenia, czy oddasz farmę, ponieważ znikniesz na długo przed przybyciem prawników zajmujących się bankructwem.

Dlaczego korporacje i instytucje podążają za modelem niedemokratycznym? Musi być oczywiste, że nasze duże korporacje odnoszą sukcesy tylko dlatego, że NIE są demokratyczne, ale autorytarne. Gdyby były demokratyczne, wszystkie mogłyby zbankrutować. Nie znam żadnego ważnego powodu, dla którego nie miałyby być tak samo w przypadku

kraju. Jeśli bycie demokratycznym skazałoby firmę na przeciętność lub gorzej, musi być podobnie w przypadku narodu. A jeśli prowadzenie firmy jako jednopartyjnej dyktatury jest przeważnie preferowanym modelem na całym świecie, to powinno to mieć zastosowanie również do rządów. Przypomnę tutaj spostrzeżenia Samuela Huntingtona, że „demokracja” zawiodła w każdej sytuacji, w której została wypróbowana, ale potem w jakiś sposób uwierzono, że jest magicznie „odpowiednia” dla rządu.

Wolność od odpowiedzialności

Ponownie, jest to jedna z tych niewygodnych prawd, że przeciętny „człowiek z ulicy” po prostu nie jest kompetentny do wybierania liderów na prawie każdym poziomie. Bez obrazu dla nas, przeciętnych ludzi, ale nie mamy doświadczenia ani zdolności do dokonywania takich osądów. Prawdziwym pytaniem jest więc, dlaczego rząd, którego funkcjonowanie jest znacznie poważniejsze i bardziej wymagające niż funkcjonowanie jakiejkolwiek korporacji, stał się małym sportem zespołowym. Nie ma rozsądnego wytłumaczenia dla tego rozwoju i nie ma racjonalnego uzasadnienia, aby go kontynuować. Jeśli nalegam na moje prawo do głosowania, a następnie oddaję ten głos na samolubnego i niekompetentnego polityka, który podejmuje wiele złych decyzji, jaką odpowiedzialność ponoszę za mój zły i niedoinformowany wybór? Żadnej. Jednym z moich praw w demokracji jest prawo do całkowitego zwolnienia się z odpowiedzialności za wynik mojego wyboru. W jaki sposób ma to sens? Zachodni wielopartyjny system polityczny jest zdumiewająco wolny od takiej odpowiedzialności dla tych wyborców, którzy wybierają niekompetentnych, skorumpowanych i służących sobie polityków, i jest to równie prawdziwe dla samych polityków. W rzeczywistości, gdyby w jakiejkolwiek „demokracji” istniała osobista odpowiedzialność, nie byłoby kandydatów i niewielu wyborców. A jednak mówi się nam, że ta metoda została ustanowiona przez Boga, jest uniwersalną wartością i prawem człowieka oraz reprezentuje prawdziwe

tęsknoty całej ludzkości. Mam poważne wątpliwości.

Wolne wybory – wolność wtrącania się

Jeden z Amerykanów napisał: „Otwartość amerykańskiego systemu z pewnością czyni go znacznie bardziej atrakcyjnym niż inne, mniej demokratyczne metody wyboru przywódcy”. Moja odpowiedź brzmiała: Tak, w rzeczy samej. „Otwartość systemu amerykańskiego” jest tym, czego Stany Zjednoczone tak bardzo pragną w Chinach. Powodem jest to, że ten otwarty system jest otwarty na wtrącanie się, ingerencję i wszelkiego rodzaju wpływy zewnętrzne. USA nie mogą wpływać na obecną formę rządów w Chinach: Chiny są „zamknięte” w najgorszym możliwym sensie, przynajmniej z punktu widzenia USA. W Chinach Stany Zjednoczone nie mogą kupować głosów; nie mogą finansować kampanii politycznej kandydata, który wykona ich rozkazy i podporządkuje sobie Chiny. W Chinach CIA nie może płacić chińskim gazetom za drukowanie artykułów przychylnych amerykańskiemu politycznemu punktowi widzenia. Można sobie wyobrazić, jakie to utrudnienie. Jak można przekonać ludzi do obalenia rządu, gdy nie ma się dostępu do mediów? W Chinach „marionetki” CIA nie mogą łatwo zorganizować „jaśminowej rewolucji”, ponieważ „Twitter” i „Facebook” są zablokowane.

Wszystkie wybory polityczne we wszystkich krajach cieszą się pomocnym „wsparciem” ze strony USA, aby zapewnić, że wyborcy dokonają „właściwego wyboru”. Dzieje się tak za każdym razem i nie jest to nawet tajemnicą. Departament Stanu USA zleca obecnie Google tworzenie stron internetowych z „informacjami krajowymi” dla wszystkich krajów przeprowadzających wybory, aby pomóc lokalnym społecznościom poznać kwestie, które są najważniejsze dla USA i którzy kandydaci finansowani przez USA będą wspierać te stanowiska.

Rząd USA zatrudnia sztaby ludzi, których zadaniem jest zapewnienie, że wyborcy we wszystkich krajach wybiorą rząd,

który będzie najbardziej skłonny do ochrony i promowania „interesu narodowego” USA. Jest tajemnicą poliszynela, że Stany Zjednoczone mocno ingerują w każde wybory w każdym kraju na świecie, czasami wydając w danym kraju więcej pieniędzy na wpływanie na wybory niż wydają partie i sami kandydaci. Amerykanie wydają ogromne sumy pieniędzy w innych krajach, finansując tych kandydatów, których mogą kontrolować lub którzy są proamerykańscy. Będą również infiltrować i próbować podżegać do przemocy partie, których nie lubią, aby zdyskredytować je w oczach narodu i świata. W przeszłości CIA często kupowała lub finansowała główne gazety, wykorzystując je jako platformę do dyskredytowania partii socjalistycznych i promowania tych partii i kandydatów, których USA mogą kontrolować lub kupować za pieniądze i przysługi. Rozważmy ten fragment amerykańskiego dokumentu zatytułowanego „Tajna propaganda jako część polityki zagranicznej USA”.

„Klasyczne przykłady [ingerencji w wybory w innych krajach] obejmują zapewnienie finansowania faworyzowanej partii, wspieranie agentów w celu wpływanie na sprawy polityczne w innym kraju, angażowanie się w wojnę psychologiczną, rozpowszechnianie dezinformacji na temat nielubianej partii lub oszukiwanie nielubianej partii. Konkretnie [tajne i ukryte] działania obejmują:

- finansowanie opozycyjnych dziennikarzy lub gazet, które przedstawiają negatywny obraz nielubianej partii u władzy;
- płacenie agentom wywiadu lub członkom partii za składanie publicznych oświadczeń korzystnych dla interesów USA;
- zapewnianie wsparcia finansowego opozycyjnym grupom społeczeństwa obywatelskiego i pomaganie im w tworzeniu międzynarodowych sieci;
- wspieranie warunków dla zakłóceń gospodarczych w nieprzychylnych krajach;
- wspieranie przywódców sprzyjających Stanom Zjednoczonym,

którzy mogliby wypełnić próżnię władzy po obaleniu partii rządzącej;

- przekazywanie pieniędzy faworyzowanej partii za pomocą legalnych lub nielegalnych środków;
- podżeganie do walki lub niezgody między dwiema przeciwstawnymi, nielubianymi partiami;
- wpływanie na wybory;
- rozpowszechnianie propagandy”.

Podstawowe podejście rządu amerykańskiego do świata jest całkowicie podszyte cwaniactwem, przebiegłością i kłamstwami. Zadziwiające jest to, że rząd USA oskarża Chiny lub Rosję o ingerowanie w amerykańskie wybory. Nigdy nie przedstawiono żadnych dowodów na to, że jakikolwiek kraj, przynajmniej w ciągu ostatnich 50 lat, faktycznie próbował ingerować w wybory w USA, ale Internet zawiera dosłownie tysiące artykułów i dokumentów dokumentujących, że Stany Zjednoczone niezmiennie ingerują w każde wybory w każdym kraju, który ma wielopartyjny system wyborczy. Podczas ostatnich wyborów w Moskwie odbyły się „protesty” przeciwko Putinowi, przeciwko „oszukańczemu wyborowi znienawidzonego przywódcy”, ale potem rosyjska telewizja sfilmowała „przywódców protestów”, którzy weszli na teren ambasady USA, bez wątpienia po to, by odebrać swoje wynagrodzenie. Ale nigdy nie słyszymy tej strony. Wiemy tylko, że Rosja chce „wpłynąć” na amerykańskie wybory. I oczywiście Amerykanie sponsorują dziś „wiece demokratyczne”, tj. ruch niepodległościowy na Tajwanie. Rząd USA jest znany na całym świecie z oskarżania innych o grzechy, które sam popełnia.

Ciąg dalszy nastąpi

Autorstwo: Larry Romanoff

Tłumaczenie: FmforLXM (Bitomat)

Źródło zagraniczne: BlueMoonOfShanghai.com

Źródło polskie: Bitomat.wordpress.com

Licencja: Opublikowano za zgodą autora z prawem do przedruku przez Wolnedia.net. Komercyjne wykorzystanie ww. materiału jest zabronione.